Rozmaitości

Dnia 27. października **Nr 43.** 1838 roku.

EDWARD DELMORE.

POWIEŚĆ W DZIESIĘCIU SCENACH.

PRZEZ

BERNARDA BRÜHL.

Któryż wieszcz kiedy to pytanie zjaśnił:
Zkąd te sny piękne, te urocze twory,
Które gdy w duszy raz już sobie zasnił,
Gwałtem się z ciemnej prą na jaw komory?

I. RADA.

Jesteśmy, kochany czytelniku, w wytwornem pomieszkaniu pięknej wdowy, Julii d'Anville, przy ulicy *Richelieu* w Paryżu.

Julija, która nie więcej jak lat dwadzieścia, a rocznego dochodu nie mniej jak 10.000 franków liczy, siedzi z towarzyszką swoją Lucyją przy śniadaniu. Julija wzdycha, Lucyja odpowiada uśmiechem. Powabna wdówka nabiera nakoniec śmiałości, i tak rzecze:

»Jak sądzisz, kochana Lucyjo? któregoż z czterech moich zalotników radzisz mi obrać sobie za męża?«

»Którego? piękne pytanie! Najładniejszego, najbogatszego i najmłodszego.«

»Radzisz nie najgorzej? ale któryżto z nich te wszystkie ma przymioty?«

»Ze wszystkich tylko ten jeden, który najmniej zalecać się ośmiela.«

»Cóż masz do zarzucenia przeciw bogatemu baronowi z ulicy *Lafitte?*«

»Ach, ten grubo spaniały, z nosem zadartym, który swe nogi tak mocno stawi, iżby niemi grzbiet najtwardszego żółwia mógł w kawałki potrzaskać!... Ha, ha, ha! Tenby się raczej dla naszej opasłej maślarki na bulwarze *Montmartre* przydał. Nawet go jej w samej rzeczy, za pierwszą sposobnością, polecić nie omieszkam.«

»Wstydź się Lucyjo!« rzekła Julija na pół z uśmiechem, »jakże można być tak rozpustnie nieobyczajną? jednakże sama widzę, żeś nie bardzo pokrzywdziła pana barona. A jakże ci wydaje się wymuskany pan Droitpied?«

»Dyrektor instytutu zabezpieczenia życia — czy o tym mówisz? Jest on prawdziwą satyrą losu, który go dla śmiechu na tym urzędzie umieścił. Onżeto ma drugim życie zabezpieczać? on, który sam tak jest pięknie suchy, iż się do niego zbliżyć obawiam, aby się za pierwszem dotknięciem w gruz nie rozsypał? Był on zapewne za owych czasów wróblem, gdy jeszcze dusze w różne zwierzęta przechodziły, i dla tegoto jeszcze sobie dotychczas i nogi i nos wróbli zatrzymał. Onby się raczej dla tej pobożnej, jak jesiotr zamarynowanej panny Anny przydał, która na przeciw nas mieszka.«

»Ty jesteś dziś bardzo pustą, Lucyjo... a pan Denis, jakże ci się podoba?«

»Denis,« rzekła Lucyja ozięble, »jestto człowiek bez serca, który ani powabów wdzięku, ani zalet rozumu, tylko rocznych dochodów żąda. Słychać także, iż jest namiętnym kart przyjacielem.«

»Cóż powiesz nareszcie o moim czwartym zalotniku?« to rekłszy, piękna wdowa pojrzała nieco trwożliwym wzrokiem na rozsądną dziewczynę, niby w obawie, aby nagannego nie usłyszała zdania.

»O Edwardzie Delmore, tym ładnym, młodym chłopcu z czarnym wąsikiem? ten jest wprawdzie ubogim, ale kocha piękną Juliję, równie jak jej pieniądze — a może nawet więcej, niż jej pieniądze. Lecz mamże powiedzieć szczerą prawdę?«

»Wolno ci, kochana Lucyjo; wiesz, iż sercem i rozsądkiem swoim zjednałaś sobie moje przywiązanie; ja polegam nie mało na twojem zdaniu.«

»A zatém radziłabym jeszcze niejaki czas zaczekać. Sądzę, że kto jest młodym, obawiać się nie powinien, iż mu przez jeden rok spełzną jego wdzięki. Edward Delmore jest autorem, ma wielki talent, jak powiadają, może się mu powiedzie zjednać sobie sławę, przyjaciół i pieniądze; może też los jakim innym sposobem przychyli się do jego szczęścia. Nie spiesz się pani!«

«Dobrze mówisz, moja kochana, zaczekam jeszcze!« To rzekłszy odeszła Julija do swojego pokoju, a Lucyja udała się przez bulwar, do zwidzenia sklepów.

II. EDWARD.

Bulwar *Montmartre* jest ładne, przyjemne miejsce, zwidzane przez rozmaitych ludzi; mało znajdziesz tam szlachty, jednakże często szlachetnych ludzi! Tam okazuje Francuz częstokroć wiele uczucia: tam jest *Théâtre de Variétés*, a niekiedy i bardzo wielka małomieszczańska ciekawość. Jestto nieprzebrany zbiór obrazów do odwzorowania dla poetów wodewilowych.

Lucyja, nie obzierając się zwyczajem subretek paryzkich, idzie skromnie za swemi sprawunkami. W tém ją ktoś zatrzymuje.

»Dzień dobry, kochana Lucyjo. Jak się ma pani d'Anville?«

Lucyja poziéra w górę: »A, dziękuję najuniżeniéj za powitanie, mości Delmore! Ma się bardzo dobrze; wczoraj w wieczór zaproszona była do pana Rosé.«

»Wiém o tém; tam też właśnie mało mnie do rozpaczy nie przywiodła.«

»A to jakim sposobem, panie Delmore?«

»Kochana Lucyjo! jesteś dobrą, czułą dziewczyną, a ja pewien tego, że cię mój los obejdzie. Posłuchaj i bądź litościwa. Ja kocham; kocham czule, kocham namiętnie Juliję; a ona tak obojętną, tak oziębłą jest dla mnie, że ledwo raz na tydzień widzieć się pozwala, kiedy codzienny jéj widok byłby największém szczęściem dla mnie. Ach, wnieś też prośbę za mną, Lucyjo!«

»Ja mam wnieść prośbę? panie Delmore!«

»Tak jest, Lucyjo; ty sama. Ty masz największy wpływ na panią d'Anville.«

»Co, ja? która jestem tylko jéj pokojówką?«

»Ach, kochana Lucyjo, zaniechaj roli udawania;... ach, czemuż nie jestem bogaty, abym cię mógł innym sposobem dla siebie zobowiązać!«

»Wstydź się, panie Delmore! Jeżeli mi o tém jeszcze nadmienisz, opuszczę go natychmiast.«

»Więc udziel mi swojéj rady, z czystéj spaniałości duszy swojéj; albowiem rady koniecznie mi potrzeba!« Delmore w zapale swojéj miłości nie postrzegł, że jego żałość z oka czułéj dziewczyny łzę wywabiła.

»Odwidzaj nas wćpan częściéj, panie Delmore; powiedz, żem cię z wyższego rozkazu zaprosiła. Ja wezmę na siebie wszelką odpowiedzialność.« To rzekłszy odeszła spiesznym krokiem.

Edward stał długo w myślach zanurzony. Przykry los jego w coraz smutniejszych obrazach stawił się mu przed oczy. Był on jedynym synem bogatego kupca; przez niechęć poświęcenia się zawodowi swego ojca, przez swój romantyczny sposób myślenia, przez oddanie się pięknym umiejętnościom, utracił jego łaskę i wsparcie. Nie wolno mu było pokazać się mu na oczy. Jednakże nie zdrożność, ani występek, tylko nieprzezwyciężona odraza uprzedzonego starca przeciw całemu bractwu autorów, była przyczyną téj nienawiści. Wszystkie te myśli, gdy się przechadzał po bulwarze, zatruwały goryczą serce Edwarda. Nakoniec przyszły mu na myśl i dawne jego układy, że bez wsparcia i powagi ojcowskiéj zdoła przymiotami swemi zasłużyć na pozyskanie ręki pięknéj, bogatéj Julii, i tym sposobem w spokojnym zaciszu, pod pieszczotną tkliwéj małżonki opieką, będzie się mógł poświęcać słodkim muzy natchnieniom. Jaki tych planów skutek — zobaczymy.

III. PAN BRISON.

Scena: Biuro bankiera na piérwszém piętrze, umeblowane pięknie, jednakże bez przepychu. W piérwszym, większym pokoju, przy osobnych stolikach, siedzi kilku piszących. Drugi, nieco mniejszy pokój, sądząc z umeblowania, jest gabinetem, w którym sam naczelnik domu pracuje. Jakoż w saméj rzeczy widzimy przy pulpicie u okna otyłą, ze spokojną twarzą siedzącą osobę, mającą na nosie okulary. Jéstto stary Delmore. W téj chwili słychać pukanie do drzwi małego gabinetu. Stary się nie rusza; przegląda leżące przed sobą papiery. Ponawia się pukanie. Stary mruczy: »Proszę wnijść!« i pisze daléj.

»Mam zaszczyt złożyć moje należne uszanowanie.«

»A, czyśto wćpan, mości Brison! jakże się masz?«

»Źle! wczoraj akcyje znacznie spadły; jato przepowiedziałem. Czy mogę służyć tabaczką, mości Delmore?«

»Dziękuję ci, kochany panie Brison; a cóż tam słychać o towarzystwie kanałowém?«

»Robi wyśmienite interesa! jamto przepowiedział. Czy pan Delmore zna przedsiębiercę? Jestto niejaki pan Simoné, obrotny, przebiegły człowiek; czy pan Delmore nié ma żadnéj z nim spółki?«

»Nie, mości Brison; lecz oto mam dla waćpana polecenie do Bruxelli, a tu pięć dukatów w zadatek jego usilności — może będą mu na wygodzie.«

»Bóg zapłać, mości Delmore!« rzekł Brison wzruszony; »wćpan jesteś rzadkim, szlachetnym mężem; oby ci to Bóg na twoich dzieciach wynagrodził!«

»Ach, tego on nie czynił!« odrzekł stary Delmore z westchnieniem.

»Jakto?... Przebacz mości Delmore, że go ośmielam się o to zapytać; jestto dowód mojéj szczeréj przychylności, mego przywiązania...«

»Jestem o tém przekonany, mości Brison; wiadomo wćpanu, że moja córka poszła wprawdzie dobrze za mąż, lecz ją Bóg nie błogosławi dziećmi, a syn mój Edward jestto — wielkie ladaco.«

»Co mówisz, mości Delmore! I owszem, słychać powszechnie, że jest skromnym i bardzo utalentowanym młodzieńcem; pisze bardzo piękne wiérsze.«

»Ależbo ja nie chcę, ażeby on wiérsze pisał! Jedno idzie za drugiém; zapewne i rozwiązłe życie prowadzi. Każę go z Paryża wypędzić — chociaż prawdę mówiąc, nie wiém, gdzie przebywa i czém się trudni; dawno już wyprowadził się z mojego domu. Nie mówiłbym jeszcze, gdyby z niego był doskonały badacz przyrody, biegły lekarz lub matematyk; takowe umiejętności przynoszą zaszczyt i pieniądze; ale te nikczemne wiérszoklety piszą tylko same baśnie, komedyje, które ani szeląga nie warte, i najmniejszego dla ludzkości nie przynoszą pożytku, i owszem jeszcze ją czynią lekkomyślniejszą!«

»Ależ mości Delmore, bądź sprawiedliwym i zważ, naprzykład pana Scribego; nie jestże on majętny człowiek?«

»Ba, to co innego; najprzód mówię wćpanu, że Edward nié ma talentu do podobnych banialuk; syn uczciwego kupca zrodzony jest do rzeczy rozumniejszych; nie na to wziął odemnie wychowanie, aby miał swoją pisaniną gawiedź paryzką w *Palais royal* rozśmiészać; a powtóre, choćby nawet miał talent, nigdy ja przecież na to nie pozwolę, aby podobne rzeczy pisał. Uważ wćpan, on mógłby zacnym być kupcem, szczęśliwym małżonkiem — jakimże słodkim nie oddawałem się marzeniom! myślałem, że będę dzieci jego do mojéj ojcowskiéj przyciskał piersi — a ten niegodziwy, przez swoje przeklęte szaleństwo skradł mi wszystkie moje najpiękniejsze nadzieje!« Stary ojciec odwrócił się, aby ukryć przed Brisonem łzę, która się z oczu jego cisnęła.

»Wiadomoż synowi wćpana, mości Delmore, że niekontent jesteś z tego, iż się on pisaniem komedyj zajmuje?« zapytał Brison.

»Mój Boże, czy mu wiadomo? wszakże on dla tego nie może się pokazać w moim domu. Nie chcę mieć syna, nad którym złudne podszepty rozpustnych towarzyszy lub pochwały zwodniczych aktorek, większą mają władzę, a niżeli rada jego ojca i przyjaciela.«

»Ale z tém wszystkiém, mości Delmore — chciéj przebaczyć mojéj śmiałości, ja mówię, jak myślę — z tém wszystkiém, jesteś przecież szczęśliwym ojcem; pan Edward doznaje powszechnie największego szacunku; i jakkolwiek nad wszystkie inne przekładam szanowny stan kupiecki, jednakże mniemam, iż sława i poważanie u świata, stanąć może w równi z zyskiem pieniężnym.«

»Ej co tam poważanie u świata!« odrzekł z gniewem Delmore; »świat dzisiejszy jest równie jak i mój syn nic dobrego, równie jak on zbliża się do upadku — z tą tylko różnicą, że ten ostatni jest moim synem, moją krwią własną, a reszta świata bynajmniéj mnie nie obchodzi. Jednakże wyruguję go z mego serca; tego szaleńca, który dla otrzymania parę franków za lichą swą ramotę, woli płaszczyć się przed przebiegłymi dyrektorami teatru, niż pracować w biurze swojego ojca i jako pożyteczny członek społeczeństwa zjednać sobie statecznych ludzi poważanie... A teraz przestańmy o tém mówić; przebacz, kochany panie Brison, mam jeszcze na pocztę wyprawić ważne listy. Do zobaczenia się.«

To rzekłszy stary Delmore, usiadł przy stoliku i odwrócił się od zdziwionego pana Brison. Ten widząc, że pan Delmore jest rozgniewanym i że wstawieniem się swojém nie pomógł bynajmniéj młodemu człowiekowi, za którym mimo jego wiedzy mówił; odchodząc rzekł zasmucony: »Żegnam wćpana, mości Delmore, życzę, abyś w czasie nie pożałował swojego sposobu myślania!«

IV. DONIESIENIE.

Od czasu wypadku tego upłynęło dni ośm, a my jesteśmy teraz z Edwardem Delmore w małéj jego izdebce przy rogu *Rue de paon.* Siedzi on bardzo wzruszony przy stoliku i z trwożliwą uwagą odczytuje pięknie oprawny i na czysto przepisany rękopis. Jestto jego piérwsze dramatyczne dzieło, które dziś w wieczór na teatrze *de Variétés* ma być przedstawione. Próby wypadły doskonale, role rozdano pomiędzy najcelniejszych aktorów, ani wątpić, że się podoba. Atoli Edward, obeznany z losem i publicznością, wié jak one czasem dziwaczą i dla tego z trwogi mimowolnie zaciéra sobie ręce.

»Ach, gdyby też szczęśliwie się powiodło!« dumając rzecze sam do siebie; ja zawsze poważałem umnictwo, i w dziele mojém starałem się zgłębiać jego zasady. Może okaże się przychylném dla swego szczérego zwolennika! Wszakże panna B*, ta niezrównana i najprzyjemniejsza artystka, wzięła na siebie główną rolę, spodziewam się, że to wielką korzyść dla méj sztuki przyniesie!«

Zaledwo że wymówił te słowa, gdy Henryk, najlepszy przyjaciel Edwarda, wszedł do pokoju.

»Cóżto, zastaję cię zamyślonym Edwardzie!«

»Witaj, Henryku! Sądzę, iż mam przyczynę być zamyślonym. Lecz cóż tam — wykonałeś wszystkie moje zlecenia? Odniosłżeś pannie B* na czysto przepisaną rolę, posłałżeś hrabinie R* bilet do loży?«

»Wszystko już załatwiłem. Jednakże przynoszę ci jednę niepocieszną wiadomość.«

»Powiédz prędko: cóż takiego?«

»Panna B*, jadąc wczoraj w wieczór do domu, tak mocno sobie wywichnęła nogę, iż na żaden sposób dziś wystąpić nie może, a przeto młodsza panna Alnis, która, jak ci wiadomo, także uczyła się téj roli, zastąpić ją będzie musiała.«

»Do prawdy?« zawołał Edward pobladły; »właśnie tego najbardziéj się lękałem. O, co za dziwaczne igrzysko losu! nieszczęście ściga mię w każdym moim zamyśle.«

»Uspokój się, Edwardzie,« rzekł Henryk pocieszając go, »młoda panna Alnis jest poważna aktorką i ma wiele talentu. Prócz tego, jak mi sama mówiła, ta rola bardzo się jéj podoba, a zatém w ogóle nie wiele na tém traci twoja sztuka. Z resztą panna B* spodziéwa się, że już pojutrze będzie mogła wystąpić; co gdy ziści się, sztuka twoja tém świetniejszą się wyda.«

»Ha, nie mogąc już odmienić, muszę się zgodzić z moim losem. A teraz bywaj mi zdrów Henryku; mam jeszcze jednę ważną załatwić sprawę. Wieczorem o godzinie 6téj zobaczymy się w teatralnéj garderobie.« To rzekłszy wyszedł ze swego pomieszkania.

V. TETE Á TETE.

»Lucyjo! czy nie słyszysz? ktoś puka — daj mi prędko co wziąć na siebie!« to rzekłszy Julija wbiegła do sypialnego pokoju.

Lucyja poszła drzwi otworzyć. Byłto Edward Delmore. »Czy można mówić z panią d'Anville?«

»Zaraz panu oznajmię, mości Delmore, proszę chwilę zaczekać.«

»Za powrotem Lucyi wchodzi Edward do sypialnego pokoju Juki, do świątyni pięknéj niewiasty. Julija siedzi na jedwabnéj, karmazynowego koloru sofie, pełna uroczych wdzięków, któreby nawet najzimniejszego filozofa zająć mogły. Edward stoi przed nią, zatopiony zupełnie w jéj widoku.

»Jako czy wćpan nie usiędziesz, mości Delmore?«

»Nie usiędę, łaskawa pani,« odrzekł Edward upiękniony wstydliwym rumieńcem i miłością, »aż dopokąd się nie dowiém — ażali...«

»Mów, Edwardzie: czego żądasz?« zapytała pani d'Anville zcicha.

«Mam do ciebie maleńką prośbę, łaskawa pani!...«

»A ta jest?« rzekła łagodnie.

»Abyś mnie za małżonka przyjęła?« odrzekł Edward nagle z zapałem, uklęknąwszy i ująwszy za rękę piękną niewiastę, która mu jéj nie wzbrania. »Ja cię kocham, ja cię ubóstwiam, pani! Oddaj mi swoję rękę i serce!«

Julija jakkolwiek nie zupełnie nieobeznana z podobnemi okolicznościami, jednakże zmieszała się, słysząc tak nadzwyczajne i natrętne oświadczenie. Nareszcie z nieśmiałością podnosi oczy i spotkawszy się z błagającém spojrzeniem, jakby poduszczającą popędzona pokusą, mimowolnie ściska jego rękę, a zanim mała ubiegła chwilka, już miękkie i różane jéj usta spoczywają na ustach klęczącego Edwarda, właśnie jak gdyby miły, wiośniany wietrzyk dwa najpiękniejsze goździki w jeden związ spoił.

»Więc mogę się spodziéwać, najdroższa Julijo?« zawołał Edward z uniesieniem i powstawszy tulił śmiało do swojéj piersi najpowabniejszą niewiastę.

Julija wymknęła się skromnie z jego objęcia. »Kochany Edwardzie, otrzymasz niezawodnie moję rękę i serce; — jednakże wkładam na wćpana jeden warunek.

»A ten jest?« zapytał Edward z ciekawością.

»Abyś dzisiejsze przedstawienie w *Théâtre de Variétés* odwołał.«

Edward to usłyszawszy, w tył się cofnał zdziwiony. »Wieszże piękna Julijo, co dzisiaj grają?«

»Twoję nową sztukę, napiérwszy utwor twojéj muzy; nie prawdaż kochany Edwardzie? Wiém o tém, i właśnie dla tego! Oto masz sześć tysięcy franków; weź je i zapłać dyrektorowi za wszelkie z tego powodu poniesione szkody, a nie narażaj ani swojéj sławy, ani swego imienia na niepewne publiczności względy, które już niejednego utalentowanego autora najpiękniejszych nadziei pozbawiły.«

»Nie, to być nie może, droga Julijo; w żaden sposób być nie może!«

»Posłuchaj mnie, Edwardzie,« mówiła Julija daléj, biorąc go za rękę z łagodnością; »ja ciebie kocham, kocham serdecznie, jakem jeszcze nie kochała nikogo — jednakże nigdybym nie przeniosła na sobie, abym była żoną wygwizdanego, wodewilowego poety!«

»A jeżeli się powiedzie? jeżeli moja sztuka podoba się publiczności? cóż wtedy, kochana Julijo?«

»Ach, kochany Edwardzie, nigdy skutek nie zawisł od prawdziwéj zasługi, a zwłaszcza w czasach naszych! Pomniéj na to, że nie jesteś bogaty (nie znała ona ojca Edwarda, ani jego majątku); z ukontentowaniem podzielę z tobą cały mój majątek; weź go i używaj wedle swego upodobania, weź i mnie, oddaję się tobie bez granic; ale bądź moim i żyj tylko dla mnie, odstąp od swego przedsięwzięcia. Wielce ja poważam ukształconego mężczyznę, który pracuje w cichym, skromnym zakresie; a jeżeli go kocham, wtedy miłość moja stanie się ubóstwieniem jego osoby; jednakże pogardzam tym mężczyzną, który nie obrachowawszy się ze swoim talentem i siłami swemi, dla marnéj sławy, siebie i spokojność życia swego na niebezpieczeństwo wystawia!«

»Nie, nie! to być nie może!« zawołał Edward z głębokiém westchnieniem; »to jest żądanie nad wszelkie siły! choćbym nawet...«

»Choćbyś przeto nawet i mnie miał utracić?« przerwała mu Julija; »jeżeli więc twoje urojenie, twoja ambicyja mocniejszą jest niż twoja miłość ku mnie, słuchajże mojego nieodzownego postanowienia: jeżeli jutro dzienniki, przynajmniéj dzienniki piérwszéj wziętości, nie ogłoszą jednozgodnie pochwały Edwarda Delmore; więc wiedz o tém zawczasu, iż ci nie oddam nigdy ręki mojéj! Będę się starała zapomnieć o tobie; będę się przymuszać, abym twój obraz zawczasu w sercu mojém zatarła; tém bardziéj, że wiém o tém, iż ci muzy wynagrodzą łatwo Julii serce!« To rzekłszy padła z płaczem na sofę.

Julija d'Auville kochała Edwarda szczérze i namiętnie, lecz będąc Francuzką, miała przesadzone wyobrażenie o honorze. Edward wzruszony rzucił się do nóg Julii, ujął jéj białą rączkę, błagał najsłodszemi wyrazami, lecz daremnie. Julija pozostała niewzruszoną. »A jeżeli jutro u nóg twoich złożę całego Paryża pochwałę?«

»Wtedy, jeszcze tego samego wieczora zostanę twoją małżonką; jednakże zaklinam cię Edwardzie,« to mówiąc powstała z sofy, »mój drogi kochanku, zaklinam cię, weź tych sześć tysięcy franków — wyrzeknij tylko słowo, a jeszcze dzisiaj będę twoją!«

Edward już jéj słów nie słyszał, już wybiegł z pokoju. I mógłże inaczéj postąpić? Będąc tak blizkim uiszczenia swych życzeń, niepodobna mu było w téj chwili zrzéc się swojego zamiaru, zrzéc się najpiękniejszego skutku swoich usiłowań, zwłaszcza, iż gdy szedł do Julii, dyrektor teatru uradowany zaletami jego dzieła, spotkawszy go na drodze, rzucił się mu na szyję i tak mocno go ściskał, iż go mało z radości nie udusił.

VI. PRZEDSTAWIENIE.

Na wieży *Quai des Augustins* uderzyła właśnie piąta godzina w wieczór, i dała znak galeryjanom, tymto ptakom rajskim, że już czas zbiérać się do teatru. Edward, znający bardzo dobrze jak wielki wpływ wywiéra galeryja, jeżeli nie na zdanie, to przynajmniéj na słuch publiczności; dla dowiedzenia się może już naprzód o zdaniu krytyków ulicznych, udał się do kawiarni na bulwarze na przeciw teatru *de Variétés*. Atoli nadaremne było jego podsłuchiwanie; zaledwo tu i ówdzie usłyszał słowo wyrażające ciekawość i oczekiwanie. Już albowiem teraz nieprzejrzany tłum ludu trzymał teatr w oblężeniu, i oczekiwał z niecierpliwością chwili, w któréj się otworzy zbawienna brama. Nie długo trwało, odemknięto z trzaskiem podwoje, a nawalna massa ciekawych Paryżanów wpłynęła do widowni, aby widzieć nową sztukę poraz piérwszy występującego autora!

O, jakże sprzeczne uczucia wichrzyły w sercu Edwarda! Bojaźń i nadzieja zaczęły miotać nim na przemiany; dla ukojenia takowéj zamieszki umysłu, pospieszył do garderoby, gdzie Henryk i całe grono aktorów przyjęli go z największémi oznakami radości, pokazując mu przez okienko w kortynie aż do ostatniego kąta widzami napełnioną widownię. Edward był jak dziecko, i płakał i śmiał się na przemiany; wyobrażał sobie wszystkie piękne, najpomyślniejsze skutki, jeżeli się szczęśliwie dziełu jego powiedzie; widział najpiękniejszą przyszłość: miłość Julii, pojednanie się z ojcem, sławę — lecz, o nieba! przejmowała go zarazem i ta myśl okropna, że może być omylonym w swojéj nadziei!

W tym nadeszła piękna Alnis, młoda przedstawczyni głównéj jego roli, i z czułością ścisnęła go za rękę. »Panie Delmore! ja uczynię wszystko, na co się tylko zdobyć będę mogła, i co mi tylko moje natchnienie doradzi; dzieło wćpana godne jest tego usiłowania!« Jakże gorąco podziękował

jéj Edward za tak zbawienne chęci... Uderzyła siódma; uroczysta, pełna przeznaczenia godzina! Orkiestra ozwała się symfoniją — ustawiono sofę, stoliki i krzesła na scenie, w budzie suflera zakołatało; odzywa się srébrny głos dzwonka i — w górę ulatuje zasłona.

Edward, stojąc z bijącém sercem jak na zarzewiu za pierwszą kulisą, poglądał po lożach dla zobaczenia swéj kochanki. W loży piérwszego rzędu siedziała Julija d'Anville, świetnie ustrojona; nikt nie zwracał na nią oczy, bo świat nie znał jéj z Delmorem stosunków. Tuż nad nią w loży drugiego rzędu siedział z panem Brison ojciec Edwarda. Jakiś niezwykły uśmiéch igrał w około ust starego pana Delmore; Edward nie wiedział, jak go sobie miał tłumaczyć. Byłażto mimowolna radość, że się powiodły piérwsze sceny, i że z parteru dały się słyszéć huczne oklaski? lub też uśmiéch ten pochodził z jakiéj innéj, niewiadoméj jemu przyczyny? Aktorowie sami siebie przewyższając, grali przewybornie. Zakończył się akt piérwszy; spuszczono zasłonę. Edward, na dany znak przez dyrektora, gotował się już za powtórzoném przywołaniem do wystąpienia przed publiczność po odebranie pochwały. Gdy oto zarazem powstaje straszny huk i wrzawa; pośród psykania przebija się okropne gwizdanie, tupot o podłogę i grzmienie laskami po ławkach! Edward z przestrachu, prawie na pół umarły, pada w ramiona stojącego obok niego aktora.

Zaczyna się akt drugi; ale zaledwo do połowy dochodzi druga scena, już oto znowu ta sama straszna powtarza się wrzawa; musiano spuścić zasłonę. Nie podobna było dokończyć przedstawienia. Sztuka Edwarda, co się nazywa jednogłośnie, wygwizdaną została. W półtora godziny po rozpoczęciu, publiczność oburzona powszechną wrzawą, zaczęła z największą niespokojnością wychodzić przez otwarte podwoje, tak dalece, iż zanim kwadrans przeminął, cała widownia wypróżnioną została. Jeszcze tylko jedna loża piérwszego rzędu była zajętą.

»Poszli ci niegodziwcy, którzy memu Edwardowi zazdroszczą sławy? którzy mu nie chcą przyznać talentu!« rzekła Julija i z płaczem rzuciła się w objęcie Lucyi.

»Pójdźmy, łaskawa pani, już wszyscy wyszli, my jesteśmy ostatnie; inaczéj ściągniemy na siebie uwagę.« Julija zebrała swoje siły i oparłszy się na ramieniu Lucyi, szła tak mocnym krokiem jak tylko mogła, na dół po wschodach. Powóz zajechał; byłto ostatni, który jeszcze stał przed teatrem. Julija chciała już wsiadać, ale w téjże chwili wybiegł Edward, który drżący na całém ciele dotychczas jéj oczekiwał za słupem.

»Julijo!« zawołał z boleścią serca, i chciał jéj pomódz wsiąść do powozu. Lecz Julija, zebrawszy ostatnie siły swojéj dumy, odwróciła się z gniewem i rzekła przeszywającym głosem: »Dziękuję wćpanu, mości Delmore!« Zamykają się drzwiczki; i w okamgnieniu znika powóz z oczu Edwarda... »Teraz wy, niebieski potęgi! przyjmcie mię w swoję opiekę!« zawołał Edward i z rozpuszczonemi włosami, bez kapelusza, puścił się ku *Pont-neuf* pełen rozpaczy.

VII. JAKÓB.

Jesteśmy znowu w skromnym kantorze, o którymeśmy w trzecim oddziale nadmienili. Jestto dziewiąta z rana, nazajutrz po przedstawieniu. Wszystka czeladź biórowa siedzi przy stolikach pilnie pracą zajęta. Stary pan Delmore, mający na głowie czarną, aksamitną czapeczkę, wchodzi do ich pokoju; czeladź, nie mówiąc ani słowa, kłania mu się z uszanowaniem; taki zwyczaj wprowadził ten osobliwszy starzec. W milczeniu na znak podzięki uchyla głowy i odchodzi do swego gabinetu. Przysunąwszy sobie szérokie krzesło poręczowe, roztwiéra wielką księgę rachunkową. Lecz wkrótce ją znowu zamyka i odsuwa od siebie. Wieczór wczorajszy mocne na nim sprawił wrażenie. Rozmyśla — gada coś sam do siebie — zaciéra sobie ręce — i znowu mówi:

»Sądzę, żem użył przyzwoitego środka do uleczenia mego syna z szaleństwa! Prawda, iż wieczór ten był dosyć drogim — kosztował mię 10.000 franków; jednakże uratowanie syna więcéj warte. Kazałem zakupić wszystkie bilety; djabły gwizdały i wrzeszczały, że aż miło posłuchać było! Co też sobie Edward pomyślał? Co bądź, to go odstraszy. Hm, jeźli nie dzisiaj, to niezawodnie w niedzielę przyjdzie do mego domu. Teraz weźmy się do pracy.« To rzekłszy bierze znowu wielką księgę do ręki i pisać zaczyna. W tém ktoś do drzwi zapukał; pan Brison wchodzi do pokoju.

»A, dzień dobry, panie Brison; siadajże, proszę.«

»Dzień dobry, mości Delmore; jak się pan masz dzisiaj?«

»Dziękuję, dzisiaj bardzo dobrze. A wćpan?«

»Nie najlepiéj, panie Delmore; sztuka rozpoczęła się była bardzo pięknie, sceny były tak tkliwe, że aż rozpłakałem się nad niemi, i dla tego mocno mnie żal pana Edwarda.«

»Ktoby na takie drobnostki zważał; niepotrzebne politowanie, mości Brison; znam się ja na wychowaniu i rozumiém te banialuki; ot, dobrze się stało.«

»Czy wiadomo wćpanu, mości Delmore, że syna wćpana od wczoraj wieczór nie widziano?«

»Hm, zapewne się zamknął ze wstydu w swoim pokoju, napisał kilka wiérszy z rozpaczy i — zasnął, a w niedzielę przyjdzie do mnie zapewne pocichutku z rana i prosić mnie będzie o przebaczenie. Nie troszcz się, panie Brison; ja znam mojego syna, bynajmniéj o niego się nie lękam.«

»Czy masz wćpan dla mnie co do czynienia, mości Delmore?«

»Tak jest; dobrze, żeś mi wćpan o tém przypomniał: mam zlecenie od pana Gobey z ulicy *Richelieu*.«

Stary Delmore, powstawszy woła do pierwszego pokoju: »Czy jesteś tam, Jakóbie? — wnijdź!« Rachmistrz wszedłszy opowiada, że Jakób (sierota, którego pan Delmore z litości wziął do swego kantora), wczoraj w wieczor poszedł się kąpać i dotychczas nie wrócił. »Spodziewam się przecie, że ten chłopiec się nie utopił.«

»Ej, któżby tam zaraz myślał o takowym przypadku,« odrzekł pan Brison spokojnie, »może wujaszek jego na przedmieściu *St. Honoré* zatrzymał go przez noc u siebie; do połodnia niezawodnie powróci.«

»Bardzoby mi przykro było,« mruknął pan Delmore, »jeźliby się mu jaki wydarzył przypadek. A teraz, mości Brison, idź wćpan tymczasem do pana Gobey; każ Leonowi, aby cię do niego zaprowadził. A gdy się ułatwisz, wróć do mnie; pójdziemy razem do pana Ducrasier dla ukończenia wiadomej sprawy.«

VIII. MORGUE.

Za nim upłynęła godzina, pan Brison w ulicy *Richelieu* załatwił całą sprawę i wrócił do starego pana Delmore. Ten wziąwszy kapelusz i laskę poszedł z nim cokolwiek niepewnym krokiem przez ulicę.

Droga wiodła ich przypadkiem poprzed same *Morgue*, jestto jak wiadomo publiczny dom w Paryżu, gdzie zwłoki ludzi, którzy gwałtowną śmiercią zginęli, wystawione bywają na widok publiczny, ażeby krewni poznawszy je, odebrać i przyzwoity pogrzeb sprawić im mogli. Otóż po przed ten dom przechodzi Delmore z panem Brison.

Stary kupiec, postrzegłszy ten dom, rzekł do swojego towarzysza: »Uważ też, mości Brison, jestto rzecz osobliwsza, że właśnie dzisiaj tędy przechodzić nam wypadło. Ja mam jakieś niemiłe przeczucie; byćto jednak może, że się biédny Jakób utopił; ja go bardzo lubiłem, chciałem go na porządnego wykształcić człowieka. Byłoby mi bardzo przykro, gdyby miał śmierć znaleźć w Sekwanie.«

»Zkąd takie myśli! on zapewne tylko przez lekkomyślność do domu nie powrócił, i obawa wćpana jest nadaremną.«

»To być może, ale dla czegoż jestem tak niespokojny? na wszelki sposób, panie Brison, wnijdźmy do grobarni; bo jeżli biédny chłopiec ten, co Boże uchowaj! zginął istotnie, nie chciałbym, aby leżał między trupami, i był widowiskiem dla pospólstwa.«

»Jeżeli już chcesz koniecznie być zaspokojonym w swojéj obawie, wolisz posłać którego z swych służących, panie Delmore; ten widok nie jest dla wćpana.«

»Na cóż tego; ja nie mam wstrętu od trupów,« odrzekł Delmore z stałością; »a Jakób nie jest przecież moim synem!« Weszli. Nie będę opisywał grobarni.

»Idź wćpan i patrz po prawéj stronie, mości Brison, a ja będę patrzył po lewéj.« Delmore wdział na nos okulary i zaczął przeglądać na kamiennych płytach porozciągane trupy. Już obadwaj obeszli połowę sali, a nie znaleźli Jakóba, gdy oto nagle przerażającym głosem skrzyknie Brison: »Mości Delmore, przez Boga, to syn wćpana!«

Delmore obraca się jak piorunem rażony; poziéra i z wykrzykiem: »Mój Edward!« pada na podłogę z granitu.

Przybiega lekarz, który zawsze jest w pobliskości tego miejsca. Nadaremne są wszelkie zabiegi przywrócić starca do życia. Nareszcie Brison każe go zanieść, wraz z zwłokami syna do domu.

IX. KARA.

Chętnie rzuciłbym na ostatnią scenę tego smutnego obrazu dobroczynną zasłonę; atoli mściwa Nemezys karze częstokroć niezbłaganie tych, którzy na ośiep i niedołężną ręką wstrzymują koło przeznaczenia; a dziejopis powinien iść za nią wiernym krokiem aż do końca.

Przez całe ośm godzin leżał stary Delmore bez zmysłów, zanim przez ponawiane usiłowania lekarzy i służących, przyszedł znowu do opamiętania. Gdy otworzył oczy, pierwsze spojrzenie jego padło na Jakóba, który stojąc przy jego łożu, podawał mu lekarstwo. Jakób wrócił w południe, jak pan Brison przepowiedział.

»Kogoż to, kogo widziałem w grobarni?« woła nieszczęśliwy starzec i dzikim wzrokiem patrząc w około siebie, zrywa się z swego łoża. »Ach, ja nieszczęśliwy! mego syna! mego syna!« mówi sam do siebie stłumionym głosem; »mego syna, którego sam wtrąciłem do grobu, którego własnemi zamordowałem rękami! Puśćcie mnie do niego — niechaj go ucałuję! Niech z nim razem wstąpię do grobu!«

W tém rozstępują się słudzy, a nieszczęśliwy ojciec widzi drogie zwłoki swojego syna na katafalku. Złagodnym uśmiechem na twarzy, leżał nieżywy Edward w pokoju, do którego jeszcze onegdaj wejść mu nie wolno było. Uśmierzająca dłoń śmierci wygładziła na czole jego wszystkie ślady rozpaczy, która nim w ostatniéj chwili miotała, i przywróciła znowu szlachetne rysy twarzy jego.

»Mój drogi synu! moje drogie dziecię!« jęknął starzec i rzucił się na jego zwłoki; »kochany mój Edwardzie! jedyne, najukochańsze dziecię moje!« Z rospaczającą serdecznością ucałował zsiniała usta: »Mój synu, pieszczoto życia mojego, przemów do mnie — przebudź się choć na chwilkę; bądź czém chcesz — bądź tylko moim synem!« tak narzekał nieszczęsny starzec i targał siwe swoje włosy z rozpaczy. Lecz Edward nie słyszał. Starzec płakał przez całą noc przy jego zwłokach. Stało się; wieczność nie wróci, co chwila wzięła!

Przyszedł poranek; lecz go już nie ujrzał starzec nieszczęśliwy: z potokiem łez upłynęło i światło jego oczy.

»Gdzież jesteś, ukochane dziecię moje?« wołał bezustanku, wzrok sobie przecierając; »pójdź do mnie! Niech cię do méj piersi przycisnę!« Chciał je ucałować, a przytulił gorące usta swoje — do zimnego krzesła! Teraz dopiero poznał, że ociemniał, i z okropnym jękiem rozpaczy padł na ziemię. Gdy go na łóżko zaniesiono, już miał przystęp pomieszania zmysłów!

X. KONIEC.

Teraz jeszcze do Julii d'Anville wrócimy. Leży ona na sofie w swéj sypialni i płacze.

»Niech i tak będzie! niech widzi słabość moję; niech na przyszłość naigrawa się z méj przysięgi; niepodobna, abym żyła bez niego! Napiszę mu, ażeby do mnie przyszedł; doniosę mu, że go kocham, chociaż nié ma sławy u świata: — niech tylko moim będzie! O, jakaż ze mnie szalona, ja myślałam, że on i nieprossony przyjdzie! O, jakież niewysłowione czuję odręczenie! Gdyby tylko Lucyja jak najprędzéj przyszła; wyjdę na świeże powietrze, tak mi tu jest gorąco, że omal nie zginę!«

W tej chwili przybywa Lucyja uradowana na twarzy. »Przynoszę pani pomyślną nowinę. Słuchaj pani: Pan Edward jest synem bogatego pana Delmore, prezydenta bandlu, który przy ulicy *Vivienne* mieszka!«

»Do prawdy?« zawołała Julija tą niespodziewaną wiadomością uradowana.

»Nie inaczéj! Jedna z mych przyjaciółek, która zna jego ojca, i która przeszłego tygodnia widziała jego syna u pani, właśnie życzyła mi szczęścia, że z panią tak bogaty się żeni mężczyzna.«

»Ach, Lucyjo, jeżeli tak jest w istocie jak mi powiadasz, więc się skończyły wszelkie moje zmartwienia; teraz poznaję, dla czego Edward tak był dumnym, i nie chciał przyjąć ofiarowanych sobie pieniędzy i dla czego dotychczas nie przychodzi... Ach, spiesz do niego i po-

wiedz mu... lecz nie, zaczekaj! wprzódy wyjdę na świeże powietrze, niech się cokolwiek uspokoję, a potém przygotuję się do przyjęcia go w mym domu. Daj mi czém prędzéj szal i każ zaprzęgać konie.«

Zajeżdża powóz. Julija z Lucyją wyjeżdżają. O pół mili od Paryża, na północno-wschodniéj stronie, jest długa prześliczna aleja, z któréj różne poboczne wychodzą drogi. Jedna z nich prowadzi do wioski, druga do wili bankiera Simoné, trzecia na cmentarz, a ostatnia nareszcie w ulicę ku *Baigneux* wybiega. W tém powabném miejscu każe Julija stanąć, i wysiadłszy z powozu, idzie daléj z Lucyją pieszo. Julija uradowana, jest wesołą, a nawet swawolną na téj pięknéj przechadzce; albowiem do połączenia ją z Edwardem, żadna już nie zachodzi przeszkoda. Postanowiła sobie mocno użyć wszystkich sposobów przywabienia go znowu do siebie. Błoga życiem i rozkoszą bieży jak łania lekkim krokiem, zarywa, igra i pieści się z każdém dzieckiem, które napotyka na drodze. — W tém ozwą się smutne dźwięki puzanu; mały orszak żałobny odprowadza trupa na cmentarz. Skromna trunna, ozdobiona kwiecistym wieńcem spoczywa na karawanie. Julija mimowolnie blednieje; posyła Lucyję zapytać, kogo chowają. Lecz trwoga nie dozwala jéj czekać odpowiedzi. Zbliża się sama do orszaku. Jakiś czarno-ubrany, usłużny i wymowny mężczyzna oznajmia jéj: iż to jest niejaki pan Delmore, syn bogatego kupca, który z rozpaczy, że jego dzieło wygwizdano, utopił się w Sekwanie.

Julija skamieniała usłyszawszy te słowa. We trzy dni późniéj, obok grobu Edwarda wykopano grób świeży — zupełnie téj wielkości, jak trunna pięknéj Julii. Lucyja wstąpiła do klasztoru.

Sądzę, iż dosyć ofiar przez zarozumiałość starca, który swego syna przemocą od poezyi oderwać postanowił!

Hrabia Walery Krasiński, który przed kilką laty otworzył w Warszawie pierwszą stereotypową drukarnię, napisał w języku angielskim, w dwóch tomach: Historyją reformacyi w Polszcze *(History of the Reformation in Poland)* i zamysla wydać drukiem w Londynie.

Zdanie Hicksona o śpiewie i muzyce. Pan Hikson wyraża się o śpiewie i muzyce w sposób następujący: »Śpiew przyczynia się bardzo wiele do ułagodzenia obyczajów człowieka, wzniesienia jego charakteru, rozpalenia w nim uczuć i obudzenia towarzyskich skłonności. Człowiek posępny, tetryczny i samolub nie znajduje ukontentowania w śpiewie; słodka harmonija, swobodny hymn uwielbienia, przykrym i nieznośnym jest dla zbrodniarza. Lekkie, swobodne i wesołe serce, śpiewając bez ustanku, szczęściem drugich się cieszy. Muzyka nie tylko wyraża radość, ale nawet ją tworzy i rozwesela serce człowieka. Upodobanie w muzyce nie wynika z mozolnego uczenia. Nikt nie słucha z początku z upodobaniem umiejętnéj muzyki. Melodyja naturalna jest prostą i czarującą. Ucho najprzód proste melodyje przyswoić sobie powinno, zanim różne kombinacyje tonów objąć zdoła. Łagodne dźwięki muzyki robią cuda. Muzyka jest najniewinniejszą zabawą w życiu ludzkiém, dla czegóż sprzeciwiamy się zaprowadzeniu jéj w naszych szkołach? Pocóż istnieje towarzystwo ludzkie, pocóż żyjemy na tym świecie, jeżeli nie dla tego, abyśmy używając szczęścia, drugim go udzielali?«

Przywrócenie życia elektrycznością. W jednym angielskim dzienniku czytamy: »Przeszłego tygodnia mała dziewczyna, nazwiskiem Anna Scheels, upadła głową w beczkę, napełnioną wodą deszczową. Nie można wiedzieć dokładnie, jak długo w niéj zostawała, szukano jéj bowiem w domu i w pobliskich ulicach, za nim pomyślano, aby się w beczce utopić miała. Gdy ją nareszcie wydobyto, była już zimną, a chyrurg Parker widząc, iż wszelkie zwyczajne środki dla przywrócenia jéj życia są daremne, użył nareszcie ostatniego sposobu elektryzowania. Z początku zaczął lekko elektryzować głowę, piersi i słup grzbietu, poczém wzmocnił uderzenia elektryczne, dla wprowadzenia w piersi powietrza, i elektryzując tym sposobem przez dziesięć minut, postrzegł, iż dziewczyna oddychać zaczęła. Elektryzował ją jeszcze przez trzy kwadranse, i z wielką radością rodziców przywrócił życie dziewczynie, która jest obecnie zupełnie zdrową.«

Dziwo natury w Anglii. Do dziejów Rito-Christina i bliźniaków Syjamskich policzyć można wypadek następujący: W Anglii rzadkie zjawisko natury było przez długi czas, tak dla uczonych, jakoteż ciekawych przedmiotem podziwienia. W hrabstwie Glocester znajdowało się dwoje bliźniąt, których ciała grzbietem do siebie były zrośnięte. Dzieci te miały osobne mamki, rosły razem i doczekały dwudziestego siódmego roku. Pochodząc z majętnych rodziców, każde z nich otrzymało przyzwoite swojéj płci wychowanie. Chłopiec będąc ponurego charakteru, poświęcał się nauce języków; dziewczyna, nierównie wesolszego humoru, uczyła się muzyki i pięknych kunsztów, wyjąwszy taniec, którego jéj brat nie cierpiał. W osmnastym roku była już doskonałą fortepianistką; wtedy, gdy grała, brat jéj przymuszonym był słuchać jéj z zadartą w górę głową i z pochylonem w tył ciałem, albo też zajmować się czytaniem. Z tego powstały niekiedy małe niesnaski; lecz przezorność rodziców zapobiegła takowym, urządzając podług godzin naukę i odpoczynek dla każdego. Oboje dzieci kochały się z wielką tkliwością. Mało-znaczące nieporozumienia kończyły się każdą razą uściskaniem, przyczém zawsze głowy nawzajem ku sobie obracały. Jeżeli jedno z nich tylko cokolwiek zasłabło, drugie tak długo było smutne i cierpiące, dopokąd droga jego połowa nie wyzdrowiała. Gdy młody mężczyzna pisał, siostra zwróciwszy głowę ku powale, czytała lub haftowała. Naturalna, iż podobne nadzwyczajne zjawisko obudziło ciekawość w całém hrabstwie i okolicach przyległych, lecz widzieć je nie wielom było wolno. Badacze natury i spekulanci ofiarowali rodzicom za to dziwo natury nie małą kwotę; lecz kochający rodzice żadnéj przyjąć nie chcieli; aż nakoniec oboje dzieci padły śmierci ofiarą. Najprzód zachorowało z nich jedno, i umarło. Drugie było z tego powodu w rozpaczy, i włócząc z sobą już w zgniliznę przechodzące zwłoki swéj połowy, tylko ją jeszcze osm dni przeżyło. Przywołano w pomoc lekarzy, lecz nadaremnie; pochowano je razem w jednym grobie.

Chopin. Utalentowany kompozytor niemiecki p. J. Dessauer umyślił podczas bytności swojéj w Paryżu, z kompozytorami pp. Hillerem i Chopinem, odbyć podróż dla rozrywki, do czego każdy według umowy miał się zaopatrzyć summą 1200 franków. Dniem przed wyjazdem oświadczył Chopin, że chory, a zatém pozostać musi. Atoli przyjaciele jego, którzy z największą niechęcią sami podróż odbyli, dowiedzieli się dopiero po powrocie, że Chopin bynajmniéj nie chorował, ale pieniądze przeznaczone na podróż, darował pewnemu staremu jenerałowi, ziomkowi swojemu, będącemu właśnie w potrzebach. Równie jenijalny jak szlachetnie myślący Chopin, aczkolwiek z umnictwa znaczne pobiéra dochody, nie ma być nigdy przy pieniądzach, ponieważ wszystko, co zarobi, wsparciu biednych rodaków poświęca.
(Ost und West.)

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*